

ROZMAITOSCI.

Dnia 13 grudnia,

N^o 50.

roku 1845.

SZEW C SEWILSKI.

(Dokończenie.)

„O, św. Franciszku! mój patronie!” zawołał szewc nieszczęśliwy, udając się na przedmieście Santa-Maria — „przyszła cię potrzeba. Nie odnawiajże mi jej, wielki święty! Objaw mi zabójcę Don-Herrery, i wybaw mnie od stryczka! Jest to uczynek, godny twojej świętości, ocaliś niewinnego. Przynuram ci za to, wszystko czego żądasz, a nawet do zakonu wstąpię, jeżeli zechcesz.”

Używszy sereu w ten sposób, poszedł z większą otuchą dalej, ufnij w pomoc swego patrona, który zapewne nie omieszką odstąpić mu tajemnicy, i z niebezpieczeństwa życia go wyratować. Oprócz tego miał jeszcze prawie całych trzydzieści sześć godzin przed sobą, a zatem, jakkolwiek wielkie to niebezpieczeństwo było, nie należało oddawać się rozpacz.

Przybywszy na przedmieście Santa-Maria, ujrzał wielką kupę ludzi w pobliżu mieszkania Don-Bringosa, przypatrującą się miejscu, na którym owe nieszczęsne zabójstwo popełnione zostało. Alguazyłowie zwijali się skrzętnie pomiędzy tłumem, szpiegując na wszystkie strony, czy gdzie jakiego śladu do wytropienia zabójcy don Herrery nie znajdą. Na widok koregidora nastąpiło głębokie milczenie, a wszyscy spodziewali się usłyszeć coś od niego. Osobliwie alguazyłowie zniżali się jego przybyciem, i zbiegli się pełni trwożnego oczekiwania w około swojego naczelnika.

„I cóż więc, moi kochani” ozwał się szewc-koregidor, naśladując szyderski ton tyrana — „Od dawna już nie byliście u mnie w pałacu; czy może już służbę porzucić chcecie —?”

„Ach panie,” odpowiedział jeden z nich z drżeniem — „zdarzyła się wielka zbrodnia tej nocy.”

„Doprawdy, mój synu?! I dla czegożeś mi natychmiast o tem nie doniósł?”

„Ach senor, nie śmieliśmy ci się pokazywać, ponieważ nie można było znaleźć złoczyńcy.”

„Więc dotąd tylkoście samo ciało zabitego zna-

leźli? Ha, dobrze, moi kochani; widzę iż macie ochotę dyndać na placu de las Mercedes, a dzięki naszemu miłościwemu królowi Pedro el Cruel, możecie łatwo mieć tę przyjemność.”

Poczem wszedł Fraquillo wraz z donną Izabellą do mieszkania jej ojca. Zdybawszy na progu córkę don Bringosa, zakrywając sobie twarz mantylą, aby śladów krwi zabitego na ulicy nie widziała, zwrócił się do niej z grzecznością, i rzekł:

„Przybywam właśnie, aby mówić z signorą. Racz pani zaprowadzić mnie do pokoju, gdziebyśmy mogli być sami, i rozważać, jakim sposobem zabójcę wysledzić.”

„Wpan, majstrze Fraquillo, masz rozważać jakim sposobem zabójcę wysledzić —” odrzekła donna Izabella z pogardą — „wpan, któryś don Herrery jego posady pozbawił, i zapewne, cieszysz się z jego śmierci.”

„Ciesz się! Pan Bóg z wami, senorita! Albożeście nie słyszeli co nasz pan miłościwy przed chwilą do mnie mówił: Jutro o szóstą godzinie będzie albo morderca don Herrery, albo koregidor niedbały wisiał —? Zatem widoczną jest rzeczą, że jeżeli do jutra mordercy nie wykryjemy, większa szkoda dla mnie niż dla pani wyniknie, bo podczas gdyś pani tylko kochanka utraciła, ja życie tracę, a trudniej dla mnie o drugie życie, niż dla pani o drugiego kochanka. Pójżmy więc senorito do pokoju i usiądźmy sobie tam wygodnie i poważnie; jestem to winien mojemu koregidorskiemu dostojęństwu i moim nogom, które będą zapewne miały wiele dziś do roboty.”

To rzekłszy, sam drzwi otworzył, i wszedł do małego pokoju w którym państwo Bringosowie siedzieli. Oboje rodzice wstali natychmiast, wychodząc na przeciw córki, lecz gdy don Bringos Fraquilla ujrzał, zmarszczyło się czoło starego skąpca, i miał widoczną chęć wyrzucenia za drzwi natręta, który don Bringosowi jego tak pożądliwie zbierane zapasy zboża wydarł.

„Cóżto, majstrze Fraquillo, sprowadza was do mieszkania rodziny, któraście na żebry przywiedli?” spytał stary skąpiec z oburzeniem.

„Przedewszystkiem macie wiedzieć, don Bringos, iż nie przychodzę tu po to, aby wasze stare patynki łątać, i że przeto nie jestem majstrem Fraquillo, lecz koregidorem prowincyi Andaluzyi. Bądźcież więc nieco grzeczniejsi, gdy z wami mówić będę; teraz zaś zostawcie mię samego z waszą córką.”

Don Bringos miał już gniewem wybuchnąć, lecz jego małżonka lękała się przecieź narazić sobie u dostojniejszego szewca, i wypchnęła zręcznie małżonka za drzwi. Co gdy się stało, usiadł sobie Fraquillo wygodnie w obszernym poręczowym krześle i rozpoczął z wielką powagą następną rozmowę zakrawającą nieco na urzędowe śledztwo.

„Spodziewam się seniorita, iż jej również jak mnie na tém zależy, aby popełnione na don Herrerze zabójstwo kary nie uszło; pochlebiam sobie zaś, iż byś pani wolała, aby ta kara stryczka raczej właściwemu zabójcy niż mnie w udziale się dostała, gdyż moja śmierć spełniłaby tylko w połowie życzone przez panią życzenia zemsty. Owoż to nadmienwszy, proszę teraz opowiedzieć mi najdokładniej całe zdarzenie.”

Donna Izabella uczyniła podług żądania koregidora.

„I jakże wyglądał na twarzy zabójca?” spytał Fraquillo.

„Nie widziałam go z twarzy.”

„A jego postać, chód, barwa stroju?”

„Wiem tylko tyle, iż był cały czarno ubrany. Ciemna noc, a jeszcze bardziej trwoga, nie dozwalały mi dostrzedz, czy on był niski albo słuszny, stary lub młody, pan czy sługa.”

„Ha, na św. Franciszka!” zawołał Fraquillo zniecierpliwiony. „O czemżeśto pani marzyła, czy o migdałach niebieskich, podczas gdy jej kochanka zabijano. Wyznanie pani na nic się nie przyda. Powiedźże mi pani przynajmniej, czy don Herrera, ile jej wiadomo, miał jakiego nieprzyjaciela.”

„Nie wiem o żadnym —” odrzekła donna Izabella.

„Pani bo też nic a nic nie wiesz” mruknął Fraquillo — „może miał rywala, który mógł na jego życie godzić?”

„Nie, seniorze.”

„Témci gorzej — Ależ przypominam sobie przecieź, iż ojciec pani wypowiedział mu dom swój, gdy don Herrera posadę koregidora utracił.”

„To prawda.”

„A zatem Don Bringos przeznaczył panią komu innemu.”

„O tém nic nie wiem.”

„I nie zakazałże mu widywać się z panią?”

„Niestety, tak jest.”

„A więc wszystko odkryte!” zawołał koregidor powstając.

„Doszedłem wątku tej krwawej tajemnicy. Dzięki ci mój patronie! Teraz pójdź seniorita, i poproś tu swego ojca.”

Don Bringos wszedł z kwaśną miną i nieukrywał bynajmniej swej niechęci z widzenia byłego szewca u siebie. „Stawiam się na rozkazy, panie majster” — rzekł z gorzkim uśmiechem — „mogęż wiedzieć czego żadasz odemnie?”

„Tak jest, majstrze Bryngos, kazałem was tu wezwać. Usiądźcie z łaski swojej.”

„Ja zwykle lubię stać.”

„I jest to też przyzwoiciej dla posłusznego poddanego w obec najwyższego urzędnika prowincyi.”

Don Bryngos usiadł natychmiast.

„Nie będziemy się tu o drobnostki spierać!” ozwie się Fraquillo — „Przystąpmy zaraz do rzeczy. Skoro don Herrera urząd utracił, dajście mu odkosa, nie prawdaż?”

„A wam co do tego, majstrze Fraquillo —?” odpowie krzywiąc się skąpiec — „Moje interesa rodzinne nie należą do rzeczy.”

„Dobrze seniorze Bryngos, dobrze; lecz co o jedenaście godzinie w nocy przed waszym domem zaszło, należy, sądzę, do rzeczy.”

„Jako! Przecieź nie zechcecie pociągać mię do odpowiedzialności za śmierć don Herrery.”

„To się okaże” odrzekł spokojnie Fraquillo — „Don Herrera nie zważał na wasz zakaz, lecz miał owszem tajne schadzki z waszą córką, a to was gniewało, nie prawdaż? A zatem myśleliście sobie —” dodał szewc cichszym głosem — „że jeden dobrze wynierzony cios szpadą —”

„Ja?! O Boże!” krzyknął don Bringos zrywając się z krzesła.

„Nie lękajcie się tak bardzo” rzekł Fraquillo — „byłaby to rzecz wcale naturalna.”

„Mnie o zabójstwo oskarżać?” zawołał starzec z wściekłością. — „Nie koniecznie o to chodzi!” odpowiedział Fraquillo, mierząc go bystrym okiem — „Chociaż łatwo przypuścić, iż człowiek, który obojętnie mógł patrzeć, jak całe miasto z głodu marło, podczas gdy on zamożne zapasy żywności u siebie przechowywał, ten także bez wielkich skrępowań mógłby i zalotnika się pozbyć, którego córka kocha, a on chciałby go oddać. Cóż na to odpowiecie?”

„Odpowiadam, iż to jest nikczemne podejrzenie.”

„Sądzę owszem że bardzo naturalne.”

To rzekłszy, przystąpił do okna i wezwał dwóch alguazyłów, którzy natychmiast do domu weszli.

„Wielki Boże! Cóż myślicie ze mną robić?” zawołał skąpiec w przestraszu.

„Zatrzymać was pod strażą, gdy ja tymczasem waszą żonę i służbę w przesłuchanie wezmę. Muszę wiedzieć, czyście wczoraj wieczorem z domu nie wychodzili, lub czy tu może jakiego podejrza-

nego człowieka nie widziano, z którymście się o nagrodę zabójstwa umawiali.”

Począł nie zważając na usprawiedliwianie się don Bringosa, zostawił go Fraquillo w rękę swoich oprawców, a sam udał się do senory i jej córki.

„Moje panie —” ozwał się do nich. „Przywołajcie tu z łaski swojej służbę domową, gdyż mam z nią do mówienia.”

Wkrótce potem weszła stara, przelekniona. Mariquita, jedyna sługa, jaką skąpy don Bringos w domu trzymał. Wszakże żadne z krętych pytań koregidora nie przyniosło pożądanego skutku. Okazało się najdowodniej, że ani don Bringos z domu nie wychodził, ani też nikt obcy nie był u niego.

Zawiedziony okrutnie w swoich oczekiwaniach, musiał Fraquillo chcąc nie chcąc wypuścić swego więźnia, lecz zagroził mu powtórnym śledztwem. Wreszcie opuścił mieszkanie don Bringosa, i wzięwszy wszystkich siepaczków z sobą, zaczął w sąsiednich domach poszukiwania przedsiębrać.

Na tem upłynął mu dzień cały, a gdy wieczór nadszedł, nie było jeczcze śladu, któryby do odkrycia tajemniczego zabójstwa mógł naprowadzić, a przeto znowu ogarnęła okropna trwoga serce poniewolnego koregidora, który również daremnie całą noc następną na przetrząsaniu wszystkich szynków, kramów i magazynów strawił. Nic a nic nie wykryto, czas bezwzględny mijał bez opamiętania, a Fraquillo i jego towarzysze spoglądali coraz tęskniej, coraz częściej i trwoźniej ku wzniesionym na placu las Mercedes szubienicom, które ku nim pożądlive ramiona wyciągać się zdawały. Nieboracy niewiedzieli już co robić; zimny pot skrapiał ich czoła, a twarze ich powlokła trupia bladeść. Już i ranek zaświtał, a uderzenie szóstej godziny na wieżowym zegarze oznajmiło Fraquillowi i towarzyszom jego, iż im tylko dwanaście godzin do życia jeszcze pozostaje.

„Moje dzieci” ozwał się Fraquillo obłudnie do alguazyłów — „musimy jeszcze jednego rozsądnego środka spróbować. Pójdźcie ze mną do tej gospody, opowiem wam co macie czynić.”

Wszedł więc z nimi do gospody, usiadł u stołu, dobył cztery zwitki pergaminowe, przymocował do każdego swoją koregidorską pieczęć, napisał szybko po kilka wierszy na każdym, i zwinął je znowu starannie. Począł podzielić alguazyłów na cztery hufce, i dawszy każdemu hufcowi po jednym zwitku, rzekł:

„Macie, moi kochani, oddać te depesze dozorcóm głównych bram miejskich, i powiedzieć im, aby zawarte w nich rozkazy natychmiast strażom swoim oznajmili. Jedni z was, moje dzieci, pójdą do bramy Castella, drudzy do bramy Triana, inni do Santa-Anna, a wy wreszcie do bramy Puerta.”

Alguazyłowie wybiegli czémprędzej z gospody, mniemając za pomocą tego zlecenia umknąć zawczasu z Sewilli i ująć w ten sposób grożącemu niebezpieczeństwu. Podzieliwszy się na cztery równe oddziały, przybyli prawie wszyscy o jednym czasie do wskazanych sobie bram miasta, oddali koregidorskie depesze i rzekli: że mają w sprawach urzędowych opuścić miasto, lecz jakże potruchneli, gdy im straż natychmiast zamknęły bramy przed nosem, i przyzwałszy arkiebuzyrów, aby ich pilnowali, na wszelkie ich sprzeciwianie się głośno im następane słowa depeszy przeczytały:

„Arkebuzyrowie mają wziąć bez wszelkiego „względu alguazyłów pod straż, i zaprowadzić ich „o piątej godzinie na plac de las Mercedes, gdzie „będą wszyscy jeden po drugim powieszeni, jeżeli „przeciwny rozkaz w tym czasie nie nadejdzie. — „Podpisano: Don Fraquillo, koregidor.”

Biędni alguazyłowie, tak podstępny sposobem schwyłani, nie byli wstanie oprzeć się swemu losowi. Oddali się więc łasce najwyższego, a Fraquillowi życzyli od serca, aby go ochłanił piekielna pochłonęła.

Tymczasem udał się sam koregidor jeszcze raz na zwiady po mieście. Przyjemność unierania w licznem towarzystwie swoich siepaczy, nie sprawiała mu żadnej wcale pociechy. Chodził prawie bez zmysłów, i nie uważał że się około niego coraz większa kupa z zadziwieniem przypatrujących mu się dzieci i żebraków zgromadzała, i krok w krok za nim postępowała. Usłyszawszy uderzenie dwunastej godziny, zdało mu się przez chwilę, jakoby już wisiał na szubienicy, i dopiero pomacawszy się za gardło, odzyskał przytomność i przypomniał sobie że żyje, i że jest na przedmieściu Santa-Maria.

Niedaleko od siebie ujrzał otwarte drzwi katedry, i wstąpił do kościoła. Tam rzuciwszy się na kolana przed obrazem swego patrona, zaczął mu gorzkie czynić wymówki, iż nań nie pamięta; po skończonej zaś gorącej modlitwie, udał się do zakrystyi i kupił dla św. Franciszka przepyszną świecę woskową. Jakkolwiek miotany najsroźszą niespokojnością, nie zbywał się jednakże odżywającej wciąż nadziei, i był pewny, iż ofiarą, którą tak złożył, nakłoni św. Franciszka do uczynienia cudu. W tej wierze wyszedł z kościoła w niezachwianém przekonaniu, iż pierwsza osoba, którą napotka, będzie to zesłany mu przez niebo zabójca don Herrery. Nie zdybał długo nikogo, aż wreszcie przechodząc obok kuźni ślusarskiej, ujrzał majstra Pereza Bruciato spokojnie przed swoją pracownią stojącego, i chwycił go silnie za kark, żądając, aby wyznał natychmiast zbrodnię.

„Carambo!” zawołał ślusarz — „zadusicie mię

panie Fraquillo! Do jakiejże to zbrodni chcieć abyś się przyznał?”

„Nie jestem ja panem Fraquillo, lecz koregidorem sewilskim i każę cię powiesić, jeżeli dobrowolnie nie wyznasz, iż don Herrere zabiłeś.”

„*Santa Madona de los doctores!*” krzyknął z przestachem Perez — „nasz przyjaciel Fraquillo oszalał! Poczém wyrwawszy się z rąk koregidora i odtrąciwszy go silnie od siebie, poszedł sobie do kuźni.

„Pomyliłem się” rzekł nieszczęśliwy Fraquillo — „to bezwątpienia dopiero druga osoba, którą napotkam, będzie zabójcą, nadesłanym mi przez świętego patrona.”

Ledwie to pomyślił, już obaczył jakiegoś mieszczanina, nadchodzącego zwojna ku sobie. Lękając się podobnego jak wprzód przyjęcia, ozwał się Fraquillo grzecznie i rzekł:

„Pozwólcie mi senorze, abym chwilę z wami pomówił. Widzicie po mojem ubraniu, iż jestem koregidorem. Wszakże nie lękajcie się tego; jestem ja dobry człowiek, i pragnę waszego dobra.”

„Proszę, mówcie, senorze” odpowiedział mieszczanin z zadziwieniem — „Czyż mi jakie niebezpieczeństwo grozi?”

„To będzie zależało od okoliczności” odrzekł Fraquillo — „Jeżeli dobrowolnie wyznacie, tedy przyrzekam wam, wyjednać dla was przebaczenie u króla, lub przynajmniej złagodzenie kary. Wierzajcie mi, iż to najlepiej dla was będzie, jeżeli się sami przyznacie.”

„Ja mam się przyznać — przebaczenie otrzymać — za cóż to? Zdumiewacie mię senorze - koregidor. Ot, nie żartujcie ze mnie.”

„Bynajmniej nie żartuję; owszem wszystko już gotowe; szubienica czeka już od dni kilku; zatem nie bądźcie uparci, lecz wyznajcie, gdyż to jedno może wam życie ocalić.”

„Szubienica! Wielki Boże! Lecz jakążto zbrodnią popełniłem?” wyjąknął poczciwy mieszczanin z przestachem.

„Wiem ja o wszystkim” odpowiedział Fraquillo — „Wściecie to wczoraj w wieczór don Herrere zamordowali. Prędko, prędko, wyznajcie!”

„Wczoraj w wieczór? A ja od dwóch tygodni nawet w Sewilli nie byłem, i dopiero dziś rano przyjechałem. Ot, dzięki Bogu, niebo nadsyła mi wybawcę. Don Ambrosio! Don Ambrosio!”

Jakiś tłusty, rubasznie wyglądający duchowny, zbliżył się ze śmiechem na to wezwanie.

„Ha co widzę?” zawołał wesoły przybysz — „Tomaso Velasquez w ręku sprawiedliwości!”

„Tak, jest, mój ojciec, oskarżony o zabójstwo!”

„Ha — ha — ha!”

„I mam wisić, jeżeli nie wyznam zbrodni, której nie popełniłem.”

„Ha — ha — ha! wisić! Tomaso Velasquez wisić! To trzeba pękać ze śmiechu.”

„Nie ma w tem nic śmiesznego; i byłbym zapewne zginął, gdyby nie wasze przypadkowe przybycie, ojciec Ambrosio, którzy możecie poświadczyć, jako przez cały tydzień z wami na wsi bawiłem.”

„To doprawdy osobliwsza pomyłka!” rzekł don Ambrosio — „a majster Fraquillo zdaje się znać się lepiej na łataniu starych trzewików, niż na dochodzeniu winowajców.”

Nieszczęsny koregidor nie miał nawet tyle odwagi aby odpowiedzieć na ten gruby przycinek. Nie mówiąc więc ani słowa, przypatrywał się spokojnie, jak don Ambrosio swego przyjaciela z sobą uprowadził, a potem usiadłszy przed drzwiami swego dawnego sklepu, zapłakał z rozpacz, mówiąc:

„O nieszczęśliważ moja dolo! Będę ja jeszcze tym kiedyś, czém byłem! O, cóż za głupiec ze mnie! Dla czegoż nie dałem obojętnie całemu miastu z głodu wymrzeć? Nie byłbym teraz przyszedł do tak okropnego nieszczęścia.”

Podczas gdy Fraquillo tak nad swoim losem rozpaczał, niemilośnierny zegar uderzył znowu dalszą godzinę, i przypomniał mu, jak krótki czas do życia mu jeszcze pozostaje. Okropna zbliżającej się śmierci chwila wstrzęsła nim srodze, gdy oto naraz zbliżyła się jakaś skulona, obdarta postać z tyłu ku niemu, i szepnęła mu do ucha:

„Tio Fraquillo! Tio Fraquillo! wyżło mój synu? I czemuż łacy stroskani?”

Szewc obejrzał się i ujrzał starego żebraka, który niegdyś zwykle sklepu jego nie minął, aby jałmużny nie dostał.

„Jak się macie stary Monique; pytasz czemu stroskany jestem, ach, jakże chętnie mimo twoich lat ośmdziesiąciu, zamieniałbym się dziś z tobą.”

„Co też gadacie mój synu! Ośmdziesiąt lat, to przykry ciężar, wątpię, aby się wam podobał.”

„A przecież, i z tym ciężarem, będziesz miał dość sił jeszcze, pójść dziś wieczorem na plac des las Mercedes, przypatrzeć się jak będą wieszali koregidora Fraquilla, który ci tak często trzewiki za darmo łątał.”

„Was wieszac, mój synu?”

„Ubrdało się tak królowi, i niczém mu tego z głowy nie można wybić.”

„Ubrdało się naszemu miłościwemu panu?” powtórzył żebrak z namysłem. „Opowiedzcie-no mi tę całą sprawę.”

„Jestto w skutek zabójstwa don Herrery; dziś w wieczór ma koniecznie ktoś wisić, albo zabójca, albo ja. Ach módl się, módl się za mnie, Monique.”

„Otóż powiadam wam, że nie będziecie wisieli.”

„Ach, nie ma żadnej nadziei, Monique.”

„A jeśli wam prawdziwego zabójcę nazwę” zagadł żebrak.

„Ty Monique, — ty mi prawdziwego zabójcę nazwiesz!” zawołał szewc w uniesieniu niewypowiedzianej radości, i pochwycił starca silnie w ramiona, jakby chciał się przekonać, że się nie przesłyszał i że to wszystko snem nie jest.

„Gwałtu! puście mnie! Jeżeli mię udusicie, tedy niczego ode mnie się nie dowiedziawszy, wisić będziecie.”

„Ach mów, mów, na miłość Boga!”

„Słuchajcież! W nocy, kiedy don Herrere zabito, leżałem sobie w cieniu pod kościołem Santa-Maria. Ledwie co mię sen zmorzył, usłyszałem krzyk jakiś. W téjże chwili przemknął około mnie czarno ubrany człowiek.”

„Ach, mój wybawco! — było niezawodnie morderca! A widziałeś twarz jego?”

„Nie; twarz jego nie widziałem, ale widziałem go z tyłu.”

„A jegoż postać?”

„Była szerokim płaszczem do niepoznania okrytą.”

„Nie upuściłże czego, co by go wydać mogło?”

„Nie — a przecież wiem, kto to był.”

„Któż taki?”

„Król.”

„Król?” powtórzył Fraquillo potrząsając z zadziwieniem, które na chwilę mowę mu odebrało. Rychło jednak opamiętał się, a zarazem przypomniał sobie, iż niemiłosiwy tyran takie nocne wycieczki lubi, i uwierzył już święcie, co mu żebrak wykrył. — „Nie masz wątplenia —” ozwał się wreszcie do starca — „że to był sam król, lecz trzeba mieć niezaprzeczone dowody, gdyż inaczej, nieby mi to nie pomogło!”

„Powieć wam tedy, mój synu, po czém króla poznałem.”

„Jednego razu, mając dopiero trzynaście miesięcy, ukąsił był don Pedro swoje mamkę w pierś tak mocno, iż z bólu upuściła na ziemię królewskie dziecię, co sprawiło, iż don Pedro, nasz król miłościwy, nogę sobie nadwężył. Wyleczono go wprawdzie z tego nieszczęścia, lecz pozostała mu przecież ta nieprzyjemna w jego nocnych wędrówkach dolegliwość, iż mu żyły u kostek lewej nogi za każdym stąpieniem skrzypią, przezco łatwo poznać go można — jak i ja go też wtedy w nocy poznałem. Ty zaś, mój synu, idź teraz prosto do króla i opowiedz mu wszystko. Niech cię pan Bóg prowadzi!”

Nie zachodziła najmniejsza wątpliwość co do tożsamości osoby. Nie ociągając się więc ani chwili, poszedł Fraquillo wprost do pałacu królewskiego.

Po drodze spotkał alguazyłów, prowadzonych już na plac de las Mercedes, i uwolnił ich ku wielkiemu nieukontentowaniu ciekawej tłuszczy. Wkrótce potem stanął przed królem.

„No i cóż mój mądry koregidorze” ozwie się Pedro okrutny — „szósta godzina niedaleko, kat już czeka, i pyta czy mu masz dać kogo pod stryczek?”

„I owszem, wasza królewska mości —” odrzekł Fraquillo z otuchą.

„Zapewne siebie samego.

„Nie, sire.”

„I kogoż więc?”

„Zabójcę.”

„Jako —” zapytał król zdziwiony — „czyżes go odkrył?”

„Tak jest, najmiłościwszy panie —” odrzekł szewc obojętnie.

„I przychodzisz tu, aby —”

„Aby cię prosić, królu, o podpisanie wyroku.”

„Pokażże mi ten wyrok” rzekł król, coraz bardziej zdziwiony.

„Oto jest, sire.”

„Wszakże nie ma tam jeszcze nazwiska winowajcy.”

„Byłoby tylko wasza królewska mość zezwoliła, aby ktokolwiek jest winowajcą, zadość się stało.”

„Bez wątplenia, panie koregidorze. Oto jest mój podpis. Ktokolwiek jest winowajcą, niech wisi. Ale, przez Boga żywego! jeśli podejrzenie twe mylne, własną głową przypłacisz.”

„Dobrze sire” odpowiedział Fraquillo z pewnością. — „Ale jeżlito istotny zabójca będzie, przyrzekaszże mi wasza królewska mość, zostawić mię przy życiu?”

„Przyrzekam, i dam ci jeszcze wszystko co tylko zechcesz.”

„Dzięki najmiłościwszy panie; dla tém większej zaś spokojności, racz mi to przyrzeczenie w obec całego dworu powtórzyć.”

To rzekłszy wezwał wszystkich dworaków, aby byli świadkami obietnicy królewskiej.

„Teraz idę” dokończył koregidor — „uczynić należne przygotowania.”

Don Pedro był w najżywszem oczekiwaniu, jak się ta przyгода rozwiąże. Przystąpił do okna, otworzył je i postrzegł, że lud na placu de las Mercedes zbierać się zaczął. Wkrótce nadszedł odźwiągły jazdy, za nim czereda alguazyłów pod dowództwem koregidora, a we środku wieziono winowajcę — jakąś całą zakrytą, czarną, i nieruchomą postać. Fraquillo odczytał głośno wyrok, skazujący mordercę don Herrery — bez wymienienia jednak nazwiska na śmierć. Potem przybito wyrok do szubienicy, kat zarzucił stryczek na szyję winowajcy, który w powietrzu uwiś — a koregidor zawołał na głos: „Stało się po sprawie-

dliwości.” W tej chwili porwało dwóch królewskich urzędników Fraquilla i przywiodło go przed tyrana.

„Majstrze Fraquillo” zapytał don Pedro groźnie —

„Cóż znaczy ta maskarada? Kogożeśto kazał powiesić?”

Fraquillo przystąpił do króla i szepnął mu w ucho:

„Don Pedra *el Cruel*, króla kastylijskiego, zabójcę don Herrery.”

„Jako, łotrze! tyz mniemasz —”

„Że kostka u lewej nogi waszą królewską mość zdradziła.”

„A wieszże, iżbym cię mógł —”

„Dależ mi wasza królewska mość przyrzeczenie, którego święcie dotrzymasz.”

„I czegoż żadasz?”

„Uwolnienia od urzędu.”

„Masz je, a oprócz tego daruję ci jeszcze tysiąc dukatów; ale skoro się zmierzchnie, każ mnie zdjąć z szubienicy, i — milcz!”

„Dzięki waszej królewskiej mości!

Jeszcze tego samego wieczora wrócili król i szewc — pierwszy do Madrytu, drugi do swego warsztatu, a stary Monique otrzymał hojną jałmużnę.

DO MOJĘJ MYŚLI.

O myśli moja! dzielna twa potęga!
Gdzie wzrok się gubi w ciemnej mgłę i cieniach,
Tam skrzydło twoje piorunem dosięga,
I wolno buja w niezmiernych przestrzeniach.

Ty się zagłębiasz w chłodne wnętrza ziemi,
Z grobów spruchniałe pamiątki dobywasz,
Idziesz w zapasy z falami wzdętymi,
Morskich przepaści tajniki wykrywasz.

Ty kruszysz skały, płaszczysz śnieżne góry,
Igrasz w księżycu, płoniesz w blasku słońca,
Śród burzy grunów zanurzasz się w chmury,
Wszystko przenikasz — od końca do końca.

Ty granic nie znasz, nic nie wstrzyma ciebie,
Za krańce świata pędem wihru latasz,
Ty drogę gwiazdom wskazując na niebie,
Przeszłość z przyszłością w jeden wieniec splatasz.

O myśli moja! Tyś wyższém natchnieniem!
Nad wszelki wyraz, śmiała, szybka, dzielna!
Tyś twórczej władzy odbitym promieniem,
Jak wieczność wielka! jak Bóg nieśmiertelna!....
Leon Jab.....

Wierność kobiéca.

Sześć lat mijało jak Małgorzata Walters żadnej wieści o swoim mężu nie miała. Był on kapitanem kompanii wschodnio-indyjskiej i popłynął z swoim okrętem do Kalkuty, lecz przez ten cały czas nie otrzymała kompanija najmniejszej wiadomości ani o okręcie ani o kapitanie. Jednego razu, gdy niezszczęśliwa małżonka smutno przy oknie stojąc ku

niebu spoglądała, ponieważ na ziem wszelka już prawie nadzieja dla niej zniknęła, wezwał ją jeden z dyrektorów, aby do biera kompanii się udała.

Po grzecznem przyjęciu przez dyrektora, przedstawiono jej jakiegoś młodego mężczyznę, którego nadzwyczaj uprzejma powierzchowność od razu wszystkich serca mu ujmowała.

„Jestem przyjacielem małżonka pani” ożwał się nieznamomy, rozpoczynając rozmowę. „Pani mnie wprawdzie nie znasz, lecz za toż znam ja panią tem lepiej, i to już od lat wielu. Podziwiam ciotę pani; jestem prostodusznym, szczerym człowiekiem — i mam też przytem majątek. Radbym z duszy podzielić los mój z panią, i zostać ojcem jej dwóch maleńkich synków. Moje obecne oświadczenie nie powinno panią obrażać; gdyż wiem ja nadto dobrze, iż w tej chwili, stanowczej odpowiedzi dać mi nie możesz, dopokąd dokładniejszych wiadomości o swoim małżonku a moim przyjacielu nie otrzymasz. Jakoż nie żądam teraz nic więcej, jak tylko łaskawego przyrzeczenia, iż rozmyślisz tymczasem nad prośbą moją. Dopiero gdyby się potwierdziło, czego oboje się lekamy — tu wziął ją nieznamomy za rękę — „dopiero wtedy zgłoszę się z prośbą o ostatnią odpowiedź. Aż potąd racz mi pani pozwolić, abym miał wszelkie starania o tobie i twoich dzieciach.”

Małgorzata pobladała. Nie mogąc ani słowa odpowiedzieć, odeszła do przybocznego pokoju. Po chwili udał się dyrektor za nią. Zaczął jej mówić o dzieciach; wspominał, iż jeżeli tak zaszczytne oświadczenia nieprzyjmie, kompania może się ujrzyć spowodowaną, odmówić jej dalszego wsparcia. Biędna zatrwożona małżonka zalała się gorącemi łzami.

„Czyż to ja panią tak zasmucił?” spytał młody mężczyzna, wstępując także do pokoju — „Nie, na Boga się świadczę, iż tego uczynić nie chciałem.”

Małgorzata uspokoiła się nieco i odpowiedziała z wszelką skromną spokojnością umysłu, na jaką ją w tej przykrej chwili stać było: „Widzę w pannu nader szlachetnego człowieka. Jesteś godzien najpiękniejszego szczęścia w miłości. Lecz ja panu dać go nie mogę. Bolałoby to pana, gdybym na jego uczucia, na jego miłość, również całą duszą nie odpowiedziała, a tego nie byłabym przecież nigdy w stanie uczynić. Bo nigdy, póki życia, nie ostygnie moja miłość dla tego, który jest mi straconym. Zbyt często zatapiałabym się w widoku moich synów, którzy obaj żywem jego są podobieństwem — zbyt skwapliwie wyszukiwałabym tego podobieństwa w ich rysach, i łzamiłabym je skrapiała — a to byłoby pańskim cierpieniem. Zresztą oddawna już poświęciłam wszelkie starania jego i moim dzieciom, i nie mogę żadnych nowych powinności przyjmować. Dla tego — cenię z całej

duszy pańskie szlachetne oświadczenie, dziękując panu od serca za nie, lecz nie żądaj pan po mnie, czego ja nigdy uczynić nie jestem zdolną.» — Potem obróciła się do dyrektora i rzekła: »Pozwól pan abym odłąd sama na moje dzieci pracowała; czuję w sobie dość sił do tego; jeżeli zaś wolno mi jest wynurzyć jedną prośbę, tedy proszę, aby spaniałomyślna kompanija świadczona mnie dobrodziejstwo, odłąd innej wdowie świadczyć raczyła. Ja i moje dzieci nie zapomniemy nigdy łaski, jakiejśmy od pańów doznawali.»

»Nie, zacna pani» odpowiedział z uwielbieniem dyrektor. »Nie będzież musiała zarabiać na swoje dzieci. Są one już zaopatrzona. O mężu pani nie mogę wprawdzie nie donieść, lecz okręć jego wrócił szczęśliwie z Kalkuty. Przynależący się pani udział w handlu, i to co kompanija za zastugi jęj małżonka dodaje, wynosi razem 12.000 zł.»

»Wielki Boże!» zawołała Małgorzata z głębokim żalem — »jakże ubogą zrobites mię przy tym majątku. Poznaje teraz nieszczęśliwa, iż wszelkie moje nadzieje zaginęły, a mąż mój w głębi morza spoczywał —»

Po tych słowach padła wpół zemdlona na krzesło. Lecz niepostrzegła, jak w tejże chwili, jedne z bocznych drzwi zlekka się otworzyły, jak niemi jakiś mężczyzna w okretowym mundurze wszedł na salę, i z zafoszonemi jak do modlitwy rękoma, ze łzami radości w oczach, zcicha do niej się zbliżył.

Dopiero gdy ją z niewymowną rozkoszą do serca swego przycisnął, otworzyła wierna małżonka a oczy i poznała go. Było jęj mąż. Ktoż jęj szczęście wystowi!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 48my i zawiera: 1) Jeszcze jeden sposób hobrejszczyznę na wozu (z orfu. 2) O chowie koni. 3) O wystawie pldów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) O zapobieżeniu psuciu się ziemniaków. 5) Wiadomości handlowe.

Damy angielskie celują niezwykłą uczonością. Jest wiele takich, które Horacego bez słownika czytają, a nawet hebrejszczyznę się trudnią. Co więcej, jeden z najślawniejszych tegorocznych astronomów angielskich jest rodzaju żeńskiego. Już przed dwięstu laty bywały w Anglii damy, posiadające tak zwane *classical acquirements* — oczytanie w starożytnych klasykach. Doszła nas pamięć kilku dam z tamtych czasów, które heksametry łacińskie układały, jak np. córki sir Antoniego Cook, z których jedna była matką sławnego Francis Bacon, a druga zastępnę jako najbłęgsza pomiędzy damami angielskimi hellenistka; tylko młoda lady Joanna Grey przewyższała ją w filologii. Klasyczna uczoność królowej Elżbiety jest powszechnie znaną z historii.

Ciemny snycerz. Francuzki pisarz Marmier donosi w liście z Insbrucku o pewnym snycerzu, nazwiskiem Neuhaus, który wyborne rzeźbiarskie roboty z drzewa sporządza, chociaż od dzieciństwa, to jest od 5go roku życia — nie widzi. Zmysł dotykania osiągnął u tego osobliwszego człowieka tak wysokiego stopnia doskonałości, iż mu wcale wzrok zastępnęje. Za pomocą tego zmysłu jest zdolon utworzyć sobie dokładne wyobrażenie czychkolwiek rysów twarzy, które potem z najtrafajęszm podobieństwem w rzeźbie oddaje. W muzeum Insbruckim znaj-

duje się drewniane popiersie cesarza Ferdynanda, które on podług popiersia jednego z włdeńskich arystów wypracował, a które zupełnie do oryginalnego popiersia jest podobne. Wykonał on także popiersie jednej ze swoich krewnych, odznaczające się również uderzającem podobieństwem, chociaż artysta przytęm tylko przez dotykkanie tworz swojej krewnęj mógł poznać. Ma on już około lat 70, i wyrobił w swoim długim życiu 350 krucyfiksów rozmaitej wielkości, dużą statnę św. Jana Nepomucena, i sto głów madony, jakoteż innych świętych. Oprócz tego ma on w swojej pracowni krucyfiks trzech stóp wysokości, który za pomocą osobnego przez samegoż artystę wynalezionego mechanizmu tak sztucznie jest urządzony, iż głowa zhawiciela powoli się podnosi, a oczy i usta otwierają się i znowuż zamykają. Mimo to zdaje się biedny artysta być opuszczonym przez swoich ziomków, którzy zapewne dopiero po śmierci pomnikiem mu się wywdzięczą. Ciemny Neuhaus jest także oraz poetą, i ułożył rzewną piosnkę o swęj ślepotcie, do której również i muzykę sam dorobił.

Audyjencyja u króla Syjamskiego. W jednym z najnowszych dzieł podróznicznych czytamy: Syjamczykowie są nadzwyczajnie chciwi, próżni, bojaźliwi, niepojętni, ulegli. Ich niewolnicza pokorność odejmuje ich całej postaci, ich obejściu się, ich sposobowi myślenia, wszelki pozór mękości, powagi, wdzięku i upręjności. W obec ministra śpiątej klasy leżeli jego podwładni płazem na ziemi, nie śmiać podnieść głowy do góry i szepcząc półgłosem odpowiedzi. Tenże sam minister musiał znowuż przed naturalnym synem cesarza jak pies po ziemi się czołgać. Pierwszy minister państwa miał od ciąętego bicia pokłonów przed królem, ogromne sńnce na łokciach i na kolanach. Przy audyjenyji, jaką niedawno poseł angielski otrzymał, leżeli wszyscy dworacy, zacząwszy od następcy tronu aż do ostatniego urzędnika, podług rangi, pokotem na ziemi; nikt nie śmiać ruszyć się z miejsca; żadne oko nie spojrzalo na nowoprzybyłych cudzoziemców; nie dostęszafes żadnego szeptu — wszystko spoczywało niemo i nieruchomo jak we śnie. W głębi sali audyjenyjonalnej zastawiona była dość wielka wolna przesterzeń. Tam wznosił się na 15 stóp wysokości tron złoty, urządzony w kształcie ottarza. Za uchyleciem zasłony wysunął się z bocznej niży tron inny, królewski, a na nim król, sztywny, milczący, i nieruchomy. Był on cały w złotogłowia ubrany, jednak bez pereł i dyamentów, a korona i berło, wraz z wachlarzami od much, leżały tuż koło niego. Każde słowo, które król do posta przemówił, szło powtarzając się cicho od jednego rozpostartego dworaka do drugiego, aż nareszcie przyszło do tłumacza, które je po angielsku postom wykładał, i tymże samym sposobem wracały się odpowiedzi. — Szalona tyranija, która u Syjamczyków panuje, stała się tak dalece zwyciężając, iż cisami, co najbardziej od niej są udręczeni, radzi w obronie jęj występnęją. Wszyscy wiedzą iż to jest tyranija, lecz nawykli już do niej, a więc zostają przy dawnych obyczajach. Zięmwszystkiem uważają się Syjamczykowie za pierwszy naród świata.

Siwek Napoleona na którym on w czasie bitwy pod Waterloo jeździł, nazywał się Akacyja. Miał on wedy lat cztery i był nadzwyczaj silny i ognisty. Pomiędzy rannymi, którzy pod koniec tego pamiętnego dnia na pobojowisku leżeli, znajdował się także Pierre B., rodem z okolicy miasteczka Viré. Akacyja przeskoczyła instynktem rannego i tak ocalała go od śmierci, a Pierre, poznawazy cesarza, po-

Śęgał go ostatniem »Vive l'Empereur.« We trzy miesiące później wysiadł Napoleon na skalistych wybrzeżach swojej samotnej wyspy, a Pierre zamieszkał w tymże czasie, wraz z przyprawioną nogą drewnianą, jako grajka karczemny, w rodzinnej wiosce. Siwek cesarza stał w maszynie w Tuileryjach. Po roku 1830ym został on jednemu z mieszkańców miasteczka Viré za 600 fr. sprzedany, a ten odstąpił go pewnemu panu L. pod warunkiem, aby go już nikomu nie sprzedawał, lecz aż do śmierci o nim miał staranie. Pierre B., prowadząc pewnego dnia orszak weselny z muzyką, poznał szlachetnego rumaka, który niegdyś przez instynkt od śmierci go zachował, opuścił smyk z radości i zaczął konia jak najmilszego peyzajscia ścisnąć i całować. Na to pozwolił mu pan L. jeździć na siwku, ile razy będzie miał jakiś orszak weselny z jedną wioską do drugiej przeprowadzać. Raz przy takiej uroczystości trzeba było starym inwalidowi, grając na skrzypcach, zjeżdżać z dość pochyłego pagórka. Tam biedna stara Akacja potknęła się, złamała nogę, i padła z jeźdźcem w głęboki, kamieniami zasuty wądoł, gdzie oboje bez życia znaleziono.

Ludzkość dzikich plemion. U żadnego narodu nie znajdziesz tyle dowodów najkłiwszej miłości rodzinnej, jak u dzikich plemion północnej Ameryki. Naczelnik pewnego plemienia stracił większą część swego ludu, jakoteż całą swoją rodzinę, na ospę, i sam jeden ocalał. Widząc iż choroba dotknęła go nie chce, wyniósł cięta żony, dzieci i reszty krewnych na pobliski pagórek, siedział tam przez tydzień pomiędzy niemi, aby się zarazić od nich i umrzeć. Nadarcmnie. Zaczem zdjął go tak wielki ból, iż odmówił sobie wszelkiego pokarmu, i z głodu wreszcie umarł. — Pewien biały szłowiek ożenił się był z Indyjanką, a narodzenie się syna zmocniło jeszcze bardziej wzięt miłości. Po kilku latach odejżdża małżonek i bierze z sobą syna, aby go na radę kilku przyjaciół do pewnego zakładu wychowawczego oddać. Tymczasem boleść matki nie miała granic; codziennie wychodziła biedna na sąsiedni wzgórek przy drodze, i wyciągając ręce ku niebu, patrzyła ciągle w stronę, w którą mąż i syn odjechali. Ale któż zdoła wyrazić cierpienie, gdy po jakimś czasie mąż bez syna powrócił. Zachorowała z żalu; posłano natychmiast po dziecko; nim ono jednak przybyło, matka umarła. — Jedna z kobiet bawiającego teraz właśnie w Paryżu Indyjskiego plemienia Jowais, utraciła troje dzieci, a niedawno umarł jej ostatni syn w Londynie. Bostała pomieszana zmysłów, zapewniając nieustannie, iż nie przeżyje tego nieszczęścia, a gdy małżonek pocieszył ją się starał — »Nix odrzekła — nie masz dla mnie pociechy; dzieci moje wzywają mnie dō siebie; oto — na wielkiego ducha! — widzę jak ręce ku mnie wyciągają, i dźwiągają, żem jeszcze do nich nie poszła.« — Jakoż umarła po kilku tygodniach w Paryżu.

Idyliczne pożycie pretendenta. Don Miguel, były pretendent Portugalski, żyje obecnie w miasteczku Albano, w małym ubogim domku, nie mającym jak tylko trzy okna w jednym rzędzie. Główną jego rozrywką i pracą jest polowanie, którym wraz z kilką strzelcami z profesyi, w lasach i na bagnach około Porto d'Anzio, Settuno i Teracina codziennie się zajmuje. Co ubiją, idzie zwykle na sprzedaż do rundy.

Pewien angielski uczoney obliczył, iż blask światła słonecznego więcej niż trzykroć sto tysięcy razy mocniejszym jest od blasku księżyca w pełni, to jest innymi słowy, iż gdyby zamiast jednego księżyca trzykroć sto tysięcy księżyców na niebie stało, jeszczeby ich razem skupione światło, słabsze było od światła jednego słońca.

Jarmarki w Niżem-Nowgorodzie obfitują osobliwie w obuwie. Na przeszłorocznym jarmarku znajdowało się przeszło 200.000 par butów i 25.000 trzewików; pierwsze płacono po 1 rubl. i 15 kopijek, trzewiki zaś tylko po 10 kop. śr. Wielka część tego towaru przybywa z Moskwy, gdzie trzech robotników zwykle 4 pary butów i 30 par trzewików w jednym dniu wyrabia.

No w y l e w. Rzeka Hugly w Indyjach wschodnich wylała w tak okropny sposób, jakiego od pamięci ludzkiej nie znają. Pół Bengalii zostało spustoszone, niezliczone osady znikły, tysiące ludzi poginęły. Roje ocalonej ludności cisną się do miasta Kalkutta, nikt nie wie, zkąd im dać wyżywienia. W francuzkiem mieście Chandernagos, stała woda d. 19 sierpnia, na kilka stóp wysokości.

Zakład amerykański. W Ameryce, jak wiadomo dzieją się wszelkie przedsięwzięcia na wielką stopę. Zakłady nawet bywają tam nierównie śmielsze i ryzykowniejsze niż u nas. I tak donosi »Kuryjer Nowo-jorski« o zakładzie niejakiego pana Ellsworth, który się zobowiązał ubiedz 1000 mil angielskich w ciągu 1000 godzin, milę na godzinę, przezco przebieżna przezeń droga zajmie bez przerwy 44 dni i 42 noce. Na spoczynek pozostaje mu tylko tyle czasu, ile go na kilku przedziej niż po godzinie ubieżanych milach oszczędzi. Zakłady obustronne dochodzą milijonów zł. pł. Trzech komisarzy jest delegowanych do pilnowania na przemian i bez żadnej przerwy Ellswortha, tak dniami jak nocą. Obowiązani są oni czuwać nad wiernym wypełnieniem warunków i dostarczyć biegaczowi wszystkiego, co ma tylko będzie potrzebem. Ostatnie wiadomości donoszą, iż Ellsworth ubiegł już znaczną część drogi, i że nie wątpli o jego wygranej.

Stawny pijak. Gdy raz w wojnie hiszpańskiej kilka angielskich i irlandzkich pułków razem obozem leżało, założyli się dwaj oficerowie, kto większego pijaka zamędzy swoimi ludźmi znajdzie. Oficer irlandzki urzymywał, iż jego służący taki kielich, jaki właśnie przed nimi stał na stole, a przynajmniej sześć butelek w sobie zawierał, bez wahań się duszkiem wyije. Anglik nie chciał temu dać wiary, a zatem wzywano służącego, chcąc usłyszeć, co on na to powie. Ten przypatrując się dokładnie kielichowi, prosił aby mu go na chwilę z sobą wziąć pozwolono. Oficerowie przystali, a on ulebawem powróciwszy, oświadczył iż gotów jest pić o zakład. Nałano tedy wina, a syn »smaragdowej wyspy« wypił cały kielich duszkiem. Anglik nie mógł przysięść do siebie z zadziwienia, a w końcu zapytał pijaka, dla czegoż brał wprzód kielich z sobą, gdy tak doskonale pić umie. »Please your honour« odpowie Irlandczyk swoim rozwlekłym akcentem, stojąc mocno na nogach i nieokazując najmniejszego znaku zawrotu głowy. »Nie byłem ze wszystkim pewny swego, i próbowałem wprzód wypić ten kielich nałany wodką.« — Anglik zapłacił w milczeniu, co przegrał.